

MISTRZYNI POWRACA

Po pierwszej roli w filmie *Trzeba zabić tę miłość* na Jadwigę Jankowską-Cieślak zapanowała moda. Identyfikowało się z nią wiele dziewczyn. Uciekła przed popularnością do Puław robić alternatywny teatr w Zakładach Azotowych. Kiedy na festiwalu w Cannes w 1982 roku dostała Złotą Palmę za rolę lesbijki w *Innym spojrzeniu*, okrzyknięto ją skandalistką. Czy przez to polskie kino o niej zapomniało? Fakt, że na ekran wróciła prawie po 20 latach. Ale za to w mistrzowskim, niepowtarzalnym stylu.



JEJ STYL JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK

Wszystko SIĘ ZGADZA

TEKST: ANNA STEFOPULOS ZDJĘCIA: BEATA WIELGOSZ

Aktorka niewykorzystana. Tak o Jadwidze Jankowskiej-Cieślak mówią widzowie. Słusznie. Ominęło ją wiele ról. Bo woląta wychowywać dzieci, niż walczyć o scenariusze? Bo stan wojenny przerwał karierę? Bo nie chciała godzić się na kompromisy? Życie odcisnęło ślad. I dobrze, bo dziś gra przejmująco kobiety niejednoznaczne, skomplikowane. Jak jej bohaterka w filmie *Rysa*. Za tę rolę dostała nagrodę specjalną na festiwalu w Gdyni.

JEJ STYL JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK

Na planie zawsze siedzi na uboczu, skupiona czeka na hasło „akcja”. Stara się nie absorbować ekipy. Antyczna gwiazdy i zapewnienie duszy towarzystwa. Michał Roża, który obsadził ją w dwóch filmach *Co słonko widziało* oraz *Lyssa*, mówi: wielka dama o wielkim sercu! Profesjonalna, otwarta, a jednocześnie wymagająca wobec świata. Osobna. W Rydze Jadwiga Jankowska-Cieślak gra kobietę, która nagle dowiaduje się, że jej mąż był prawdopodobnie współpracownikiem SB. Podejrzenia wykańczają. Taką rolę mogła udźwignąć tylko doświadczona aktorka, która sama sporo przeżyła.

Twój STYL: Pamięta Pani swoją pierwszą miłość?

Jadwiga Jankowska-Cieślak: Był nią mój obecny mąż Piotr Cieślak. Nasz romans wybuchł, gdy byłam na pierwszym roku szkoły teatralnej. Piotr jako starszy student pomagał przy egzaminach wstępnych. I wypatrzył mnie sobie.

TS: I nic wcześniej się nie zdarzyło?

JJC: Ani wcześniej, ani później, choć miałam powołanie. Szybko opowiedziałam się za księciem małżonkiem. I tak zostało. Nawet gdy byliśmy z Piotrem „oficjalną” parą, wielu panów usiłowało uderzać w koperczaki, ale byłam twarda i dawałam odpór...

TS: Jaka Pani wtedy była: wyzwolona, odważna?

JJC: Bardzo niewinna. Ale Piotr był konsekwentny. I w końcu zaczęłam zwracać na niego uwagę. Między zajęciami wymykaliśmy się na spacer. Zaczęłam przychodzić na jego próby w teatrze, on z kolei na moje. Wyjeżdżaliśmy do Wrocławia na spektakle Grotowskiego: siedemnaście godzin pociągiem osobowym z przesiadkami. Było wesoło. Życie towarzyskie toczyło się u kolegów w Dziekance albo w wynajmowanych stancjach. Świetne czasy.

TS: Jak Piotr wyglądał?

JJC: Ostatnio oglądaliśmy *Człowieka z żelaza*, gdzie mąż miał fajną rolę i... pospadaliśmy z krzesel. Taka konfrontacja to szok – szczipaczek, według mnie przystojny, elegancki człowiek. Właśnie taki.

TS: Pobraliście się jeszcze na studiach?

JJC: Tak, na czwartym roku. Mieliśmy ślub cywilny. Mama zdobyła dla mnie kupon żółtej krempliny i na jej specjalne życzenie kreację uszyła krawcowa. Koszmarna kiecka, nie podobała mi się, ale w niej wystąpiłam. Nie chciałam robić mamie przykrości.

TS: Jesteście z mężem tyle lat razem. Od razu było dobrze?

JJC: Oboje z Piotrem mamy natury „do środka”. Emocje dość długo buzują w ukryciu, ale jak już dojdzie do wybuchu, to ratuj się, kto może. Ale jakoś nauczyliśmy się z tym żyć. Przed ślubem wynajęliśmy pokój na Starówce. Zarabialiśmy w spółdzielniach studenckich – mycie szyb, sprzątanie. Ja dziergałam swetry. Trudne warunki rodziły konflikty. Rozstawaliśmy się, wracaliśmy. Intensywne, burzliwe, ale prawdziwe życie. Myślę, że do dziś oboje realizujemy się w tym związku.

TS: A w trudnych momentach na kogo mogła Pani liczyć?

JJC: Mąż zawsze był wsparciem. Nigdy jednak nie byliśmy wzorem przebojowej pary idącej po trupach do celu. Nie walczyliśmy za wszelką cenę o swoje. Zaliczyliśmy wiele górów i dołków.

TS: Teraz Pani mąż jest w dołku.

JJC: Spotkała go obrzydliwość. Zbliżało się pięćdziesięciolecie Teatru Dramatycznego, którego Piotr był dyrektorem. Miał otrzymać medal Zasłużonego dla kultury polskiej. Z dnia na dzień stracił pracę. Dowiedział się o tym „z miasta”. Nikt nie stanął w jego obronie. Pies z kulawą nogą nie zainteresował się, czy ma z czego żyć. Odszedł w atmosferze pomóżmy. Ostaliśmy się z gołym tyłkiem.

TS: A medal?

JJC: Żartuję pani, oczywiście, że nie dostał.

TS: Jak mąż poradził sobie z tą sytuacją?

JJC: On sobie z tym nie radził, ja sobie z tym nie radziłam. To długi proces, zanim człowiek ochłonie z szoku. Nie można zrobić „pstryk” i zapomnieć.

W jej rodzinie brak tradycji aktorskich. Bliscy ze strony ojca pochodzili spod Białegostoku. Dziadek był przedwojennym krawcem. Wśród przodków po kądzieli są gdańszczanie i Kaszubi. Mama Jadwigi chciała zostać sportsmanką, więc zaliczyła rok w Centralnym Instytucie Kultury Fizycznej w Warszawie. Wojenne losy rzuciły ją i jej przyszłego męża w Lubelskie. Tam się poznali. Oboje pracowali dla Niemców. Pobrali się i wrócili do Gdańska. Kiedy skończyła się wojna, byli biedni jak myszy kościelne. Nie wiedzieli, co z sobą począć. Ojciec postanowił zatrudnić się w wojsku. Tam dawano mundury, mieszkanie i pieniądze na przeżycie.

TS: Jak Pani wspomina najmłodsze lata?

Mama wstydziła się, że córka gra przed obcymi. Produkcja rekwizytów, szycie kostiumów to był zawód. Ale aktorstwo?

JJC: Miałam rewelacyjne dzieciństwo. Mieszkaliśmy w Gdańsku, w okolicach morenowych górów, które łączą Wrzeszcz i Oliwę. Ganiałam po nich z rodzicielstwem w każdej wolnej chwili. Miałam trzech braci. Zresztą strasznie byłam wkurzona na los, że uczynił mnie dziewczyną. Dokładałam wszelkich starań, żeby być czwartym chłopakiem.

TS: W co się bawiliście?

JJC: Najbardziej interesujące było dźbanie przy niewypalch. Bardzo chciałam być świadkiem eksplozji, ale najciekawsze zawsze mnie omijało.

TS: Bombowe dzieciństwo.

JJC: Pamiętam niedziele. Najpierw msza, potem świąteczny obiad. Po nim szliśmy na cmentarz na Srebrzysku, gdzie leżała część rodziny matki, no i kilku lekkomyślnych kumpli. Kiedy miałam 11 lat, ojca awansowali na pułkownika i wyprowadziliśmy się do Warszawy. Byłam szczęśliwa. Uważałam, że stolica jest centrum, a Gdańsk to straszna pipidówka bez perspektyw. Mała kretyńska.

TS: Pani ucieszyła się z przenosin do Warszawy, a bracia?

JJC: Starsi byli niepokieszeni. Wyjazd do Warszawy rozwiewał ich marzenia o zostaniu marynarzami. Janek, średni, uciekał z domu. Wsiadał do pociągu i uparcie jechał w kierunku morza. Chciał się zaciągnąć na statek. Usiłował jakoś zbliżyć się do pływania. Ukończył Zasadniczą Szkołę Zawodową Żegluga Śródlądowej, ale nigdy nie pływał. Najstarszy Kuba jako chłopak stracił słuch, został leśnikiem.

TS: Macie ze sobą kontakt?

JJC: Wszyscy się porozjeżdżali. Kuba mieszka w górach, Jan w Gorzowie Wielkopolskim, Jerzy w Ciechanowie. Kontaktujemy się telefonicznie, mailowo, kartkowo. Ale to jest taki straszny wysiłek oderwać się od swoich zajęć i pojechać w odwiedziny. Chyba wszyscy jesteśmy zbyt leniwi, bo gdyby dołożyć trochę starań, moglibyśmy utrzymać bliższe kontakty. Nic nie stoi na przeszkodzie, absolutnie. To są bardzo fajni ludzie. Ale jesteśmy zbyt wygodni.

TS: Chłopakom nie bardzo wyszło, a jak Pani wiodło się w Warszawie?

JJC: Nie mogłam dojść do ładu sama ze sobą. Może byłam za wrażliwa, ale bolał brak akceptacji. Przyjechała dziewczucha z prowincji, więc dzieciaki miały się nad kim pastwić. Ojciec dostał mieszkanie w osiedlu wojskowym, a najbliżej nas była ekskluzywna podstawówka i liceum wówczas im. Klemensa Gottwalda. Silne środowisko inteligentnych kujonów. Ktoś z zewnątrz był niemile widziany. Moi bracia szybko stamtąd uciekli. Ja zostałam.

TS: Dlaczego?

JJC: Zapałam się. Dam radę. Chromołą ich. Uciekłam we własny świat. Dziwne, ale z tamtego czasu nie pamiętam nazwiska żadnego nauczyciela ani

uczni. Traktowałam szkołę jak zło konieczne. Cały czas kombinowałam, jak tu się urwać z lekcji.


TS: Wagary? Gdzie i jak je Pani spędzała?

JJC: W szafie! Ukryta, przy latarce pochłaniałam książki. Gdy matka to odkryła, pozwoliła mi czytać w pokoju. A ja pilnowałam, żeby zaliczać wszystkie klasówki. No i jakoś przeszłam przez szkołę.

TS: Czy mama wiedziała, co się dzieje z córką?

JJC: Wiedziała, ale miała na głowie cały dom. Sama zajmowała się czwórką dzieci, bo mąż bez przerwy pracował. Wychodził o siódmej rano, wracał o dwudziestej czwartej. Kładł pensję na stole i reszta mała go obchodziła. Robił karierę. Był sędzią wojskowym. Matka z tej niezbyt dużej pensji potrafiła nas ubrać, nakarmić, wyposażyć do szkoły. I jeszcze podrzucała nam coś na tramwaj, lody, kino. Organizowała przyjęcia dla kolegów ojca, to był zwyczajowy obowiązek. Ojcu i dzieciom poświęciła się całkowicie. Tyrąła jak dziki osioł, własnego życia praktycznie nie miała. Ale nigdy w życiu nie usłyszałam z jej ust skargi.

TS: A co Panią wówczas pasjonowało oprócz ksiązek?



RODZINNE WARTOŚCI

Od zawsze z tym samym mężczyzną. Studenckie małżeństwo z Piotrem Cieślakiem przetrwało, choć nie było łatwo: brak pracy, pieniędzy, mieszkania. Mają trójkę dzieci. Więc pytana o osiągnięcie życia aktorka mówi: rodzina. Razem z synem i jego żoną Cieślakowie dzielą dom pod Warszawą. Mają wielki ogród, psy, koty. „Jest dobrze”, mówi Jadwiga i przygotowuje rośliny do zimy.



UROK DOJRZAŁOŚCI

Lubi obserwować, jak się zmienia.

Bo człowiek przechodzi w życiu przez różne etapy i to odzwierciedla jego twarz. Więc ona z niecierpliwością czeka, co się w niej jeszcze obudzi.

Kiedy była młodsza, myślała: starość, koszmar! Ale im więcej ma lat, tym dojrzałe życie bardziej się jej podoba.

JJC: Jak na czwartego chłopaka przystało – sport: pływanie, bieganie, siatkówka. Gdy miałam 11 lat, zamarzyło mi się grać w tenisa. Wsiadłam do trolejbusego, pojechałam na Legię. Myślałam: zapiszę się, to może mi dadzą sprzęt, rodziców nie było stać na rakiety. Zauważyłam ubranego na biało mężczyznę. Podeszłam. „A ty, dziewczynko, ile masz lat? – Jedenaście! – Za stara jesteś”. Odwróciłam się i obrażona opuściłam teren ośrodka. I tak Legia straciła przyszłą mistrzynię, którą zamierzałam zostać. A tym bezwzględny człowiekiem był stały bywalec kortów Zbigniew Lengren, autor słynnej serii rysunkowej „Przekroju” o Profesorze Filutku i psie Filusiu.

TS: Kiedy pojawiło się zainteresowanie aktorstwem?

JJC: Jako nastolatka odkryłam teatr. Zaczęłam czytać dramaty. Biegałam na spektakle trzy, cztery razy w tygodniu. A jak już wszystko obejrzałam, szłam po raz drugi. Nawet matce podkładałam pieniądze na bilety. To było jak nałóg. Najlepsze chwile przeżywałam, gdy gasło światło i podnosiła się kurtyna. Zataczałam się w innym świecie, oglądałam najlepszych: Świderski, Traczykówna, Skaruch, Holoubek, Michnikowski, Pawlikowski, Rudzki, Andrycz, Eichlerówna, Barszczewska...

TS: To był ten moment, kiedy zdecydowała Pani: będę aktorką?

JJC: Nie miałam artystycznych aspiracji, broń Boże. Koleżanka zaciągnęła mnie na zajęcia kółka teatralnego w Pałacu Kultury i Nauki. To ona chciała zostać gwiazdą. Ona straciła zapał, a ja zostałam.

TS: Zajęcia teatralne chyba nobilitowały w hierarchii klasowej?

JJC: Nikt o nich nie wiedział. Chyba się wstydziłam, a poza tym to było tylko moje. W kółku teatralnym pracowała z nami fajna osoba – Jadwiga Marso, krakowska aktorka, która występowała m.in. u Kantora. Miała talent pedagogiczny i właściwie przez nią trafiłam do szkoły teatralnej. Zdawałam jak w malinie. Niewiarygodny stres. Pokonałam wszystkie etapy bez problemu. Szok, że w ogóle zdałam, bo wcale nie wierzyłam w powodzenie. Miałam tylko siedemnaście lat i byłam ciemna jak tabaka w rogu – myślę, że to głównie spodobało się profesorom. Czysta kartka. Studia otworzyły przede mną zupełnie inny świat.

TS: Lepszy?

JJC: Nieporównywalnie. Atmosfera, ludzie, zajęcia, wszystko mnie pociągało. Kompletnie odciełam się od poprzedniego życia, rodziny. Utonęłam w szkole. Szło się na godzinę ósmą rano, wychodziło się o północy. I tak przez cztery lata. Społeczność studencka była mała, na roku piętnaście osób. A zajmowało się nami grono wybitnych aktorów. Miałam zajęcia z Zosią Mrozowską, Inkiem Gogolewskim, Marianem Wyrzykowskiem... To tylko niektórzy. W ciągu dnia uczyli teorii, wieczorem można było ich podpatrywać, jak w teatrze wcielają ją w życie.

TS: Byliście zgranym rokiem?

JJC: Bardzo. Czas spędzony w szkole teatralnej to najlepsze lata w moim życiu. Panowała tam dość silna hierarchia. Starsi byli bliżej Pana Boga.

Studentowi pierwszego roku nie wypadło zagaść do starszego kolegi. Trzeba było okazywać szacunek, wręcz nabożny. No, nie do końca oczywiście, bo przecież nawiązywały się romanse takie jak mój i Piotra.

TS: A jak matka patrzyła na Pani karierę, kiedy po szkole stało się o Pani głośno?

JJC: Dziwił ją szum wokół mojej osoby. Mój sukces jej nie imponował. Była osobą tu i teraz, mocno stającą po ziemi. Zapraszana na spektakle i filmy, bardzo się denerwowała. Wstydziła się, że jej córka pokazuje się przed obcymi ludźmi. Z drugiej strony strasznie chciała, żeby mi się udało. Aktorstwo jednak było poza jej życiem.

TS: I pewnie poza życiem ojca? Podejrzewam, że był bardzo zaskoczony, gdy złożyła Pani papiery do szkoły teatralnej?

JJC: Kiedy zdecydowałam się zdawać, ojciec z matką mówili: „Wybij sobie z głowy, to nie dla ciebie. Zdawaj do technikum teatralnego. Szycie kostiumów, robienie rekwizytów, oto jest przyszłość. Aktorka? Zwarowałaś”. Kiedyś grałam w sztuce, gdzie padały słowa: „wszyscy aktorzy to pedały, a aktorki to kurwy!”. Z grubsza oddawały opinię ojca o tym środowisku. Do końca życia nie zmienił zdania. Zdażył być świadkiem początków mojej kariery. Widząc pierwsze sukcesy, chodził dumny i blady. Kiedyś wygadałam się, że dostałam propozycję zagrania żołnierki, ale odmówiłam. Wtedy odwołał mnie na bok: „Jadziu, musisz to zrobić, jesteś córką oficera”.

W filmie był wątek lesbijski i sceny erotyczne. Panika! Ale z Grażyną Szapołowską dałyśmy z siebie wszystko.

TS: Byliście skonfliktowani?

JJC: Miałam odmienne poglądy niż ojciec. W marksista leninista, dosyć cyniczny, ale ideowy, chciał mnie przekonać do swoich racji. Był inteligentny i złośliwy. Z jego złośliwością nie radziłam sobie. Jeździł po mnie jak po tysej kobyle, ja wpadałam w pasję, wrzeszczałam, trzaskałam drzwiami. Ta moja bezkompromisowość wynikała z głupoty i marnej orientacji w realiach. Pamiętam moment, kiedy zaczęliśmy się do siebie zbliżać. Założyłam już rodzinę, urodziłam córkę. Zośka była jego ukochaną wnuczką. Świata poza nią nie widział. Ja też dorosłam, dojrzałam, wyraźnie ociepliło się między nami. Wydawało mi się, że będę miała fantastycznego ojca i dziadka. A on umarł. Straciłam szansę.

TS: Bliżej było Pani do mamy...

JJC: Niby miałam z nią bliski kontakt, rozumiałyśmy się bez słów. Natomiast istniała niewidzialna granica, której się nie przekraczało. Z moimi dziećmi mam kompletnie inne relacje. Już nie ma tego muru. Rodzice mentalnie tkwili w czasach przedwojennych. Chyba nie do końca nadążali za zmianami. Pewne rzeczy ich denerwowały, oburzały.

TS: Lata 60., czasy Pani młodości, to rewolucja obyczajowa: moda mini, głośna muzyka. Jak to znosili?

JJC: Nie mogli się z tym pogodzić – taki bezwstyd i rozbewstwienie! Rodzice byli bardzo skromnymi ludźmi. Nie mieli wielkich wymagań. Mama chodziła w jednej kiecec dziesięć lat. Ojciec kupił jej kiedyś pantofle marki Bata. I ona w tych butach przechodziła niemal całe życie. A ja nosiłam szorty, które sama dziergałam na drutach. Szyłam sukienki, które ledwie przykrywały przyrodzenie. Mama umierała: „Jadziu, całą pupę ci widać!”.

Natura buntowniczką i niezwykłą twarzą zachwyciły reżysera Kubę Morgensterna. Po sukcesie *Kolumbów* chciał nakręcić opowieść o nowym pokoleniu Polaków, innym niż młodzież z Powstania Warszawskiego. Powstał nowatorski film *Trzeba zabić tę miłość*. Jadwiga Jankowska-Cieślak za rolę niepokornej Magdy dostała w 1973 roku pierwsze ważne wyróżnienie: nagrodę im. Zbyszka Cybulskiego. To był jej debiut. Kiedy stanęła przed kamerą, zorientowała się: film to jej pasja i świat.

TS: Rola zwirowanej Magdy przyniosła Pani popularność. Wiele dziewczyn się z Panią identyfikowało.

JJC: Teraz po latach obejrzałam powtórkę. Pomyślałam: jakie fajne kino, prawie się nie zestarzało. A popularność... Przyszła i poszła. Łagodnie przebrnęłam przez ten etap, bo kiedy zaczęła się wrzawa, wyjechałam do Puław do męża i urodziłam córkę.

Byłam zachwycona macierzyństwem. Poza tym byliśmy wreszcie naprawdę samodzielnymi. Obie rodziny daleko, więc nikt się nam nie wtrącał w życie.

TS: A co się działo w Puławach?

JJC: Grupa naiwnych zapaleńców założyła Studio Teatralne przy Zakładach Azotowych. W działalność zaangażował się też mój Piotr. Marzyliśmy o zrobieniu nowoczesnego teatru, bo ten tradycyjny wydawał się nam skostniały, zramolały, okropny. Chcieliśmy być niezależni od dotacji państwowych i nieść „kaganek oświaty” do robotników. Mnóstwo idei pisanych wyłącznie dużymi literami. Przyjeżdżali do nas wielcy, m.in. Jerzy Grotowski, nasz guru, i przedstawiciele opozycji, np. Adam Michnik. Ale tak naprawdę byliśmy na garnuszku państwowego zakładu produkcyjnego. W pewnym momencie kierownictwo powiedziało „dosyć” i wyrzucili nas na bruk.

TS: Udało się choć troszkę oświecić robotników?

JJC: Ależ skąd, robotnik nie był zainteresowany naszymi eksperymentami, co nam w ogóle nie przyszło do głowy. Potem trafiłam do Dramatycznego, do zespołu Gustawa Holoubka. Świetny etap zawodowy. No i zaczęło się poważne rodzinne życie: problemy mieszkaniowe, finansowe, ot, codzienność.

TS: Dotarliście się z mężem, było spokojnie...

JJC: Związek z panem Piotrem był bardzo udany, chcieliśmy mieć drugie dziecko. Pragnęliśmy stworzyć rodzinę z prawdziwego zdarzenia. >

JEJ STYL JADWIGA JANKOWSKA-CIEŚLAK

< Nad następnym potomkiem pracowaliśmy długo i intensywnie. Już myślałam, że poprzestaniemy na jednym. Kuba urodził się siedem lat po Zośce. Byłam w siódmym niebie. W wychowaniu pomogła mi mama. Na każdą moją prośbę stawiała się bez słowa. Ani skargi, ani wyrzutów. A ja byłam spokojna, bo wiedziałam, że mogę na niej polegać.

TS: A najmłodszy syn?

JJC: Antek urodził się na czterdzieć. Teraz ma 17 lat i stale siedzi przy komputerze. Mam wrażenie, że dla niego świat rzeczywisty jest przedłużeniem wirtualnego. Kuba z kolei to dusza człowiek, do którego wszyscy lgną. Zosia natomiast ma niesamowity talent rodzicielski. Jest kobietą konsekwentną i posiada zdanie na każdy temat. Chyba najbardziej przypomina mnie samą.

W 1982 roku Jadwiga Jankowska-Cieślak zagrała lesbijkę i dziennikarkę Evę Szalanczkę w węgierskim filmie *Inne spojrzenie* w reżyserii Károlya Makka. Dostała Złotą Palmę na festiwalu w Cannes. O tym, że jest laureatką, dowiedziała się w hotelu, w noc przed ceremonią. Pierwsza myśl: „Boże, trzeba będzie udzielać wywiadów i pozować do zdjęć”. W skład jury wchodziła Monica Vitti i George Lucas. Przewodniczącym był Michelangelo Antonioni.

Trudno, żeby osoba w moim wieku miała pysk dzieciaka. Nie mam na tym punkcie obsesji.

TS: Po festiwalu uderzyła Pani do głowy sodówka?

JJC: Jak człowiek dostaje nagle Złotą Palmę w Cannes, to przecież szajba musi mu odbić, nie ma innej możliwości. Moje wyobrażenie o sobie urosło, czułam, że mam świat u stóp. A tu życie jeb po łbie.

TS: Film *Inne spojrzenie* opowiadał o miłości lesbijskiej. To była sensacja na cały obóz socjalistyczny.

JJC: Wątek miłosny w pierwotnym scenariuszu nie był przewodni, przeważała polityka. Byłam dumna, że zagram „bojowniczkę o wolność i demokrację”. A że zaistnieje w tle delikatny wątek lesbijski – trudno. Nie miałam pojęcia, na czym miały polegać sceny erotyczne. W trakcie kręcenia okazało się, że, mówiąc obrazowo, trzeba zakasać rękawy i wziąć się do roboty. Obie z Grażyną Szapolowską, moją filmową partnerką, byłyśmy przerażone. W końcu przemogłyśmy wstyd i opory. Dałyśmy z siebie wszystko. Reżyser to wykorzystał i przemontował film z politycznego na mocno erotyczny. Pewnego dnia obudziłam się jako czołowa lesbijka demoludów.

TS: Nie obawiała się Pani konsekwencji zagrania w takim filmie?

JJC: Rola była tak fantastyczna, że nie zastanawiałam się nad konsekwencjami. I słusznie, bo obie z Grażyną zostałyśmy docenione. Grażyna dzięki tej roli nakręciła sporo zagranicznych filmów.

TS: A Pani też dostała propozycje?

JJC: Kilka, ale skorzystałam tylko z jednej, bo wszystkie właściwie powielają moją rolę z *Innego spojrzenia*. A to mnie już nie interesowało.

TS: A w Cannes czuła Pani, że może być nagroda?

JJC: Wiedziałam, że film się spodobał. Obie z Grażyną przekonaliśmy Węgrów, żeby zezwolili nam pozostać do ceremonii rozdania. Gdy stanęłam na scenie, byłam oszołomiona. Czułam się trochę jak Kopciuszek na balu. Piękne wspomnienie i szokujący powrót do Polski stanu wojennego. Był rok 1982.

TS: Wylądowała Pani na Okęciu i co: gratulacje, kwiaty, zdjęcia...?

JJC: Ale skąd, w życiu... Informacja w mediach pojawiła się dopiero wtedy, gdy moja koleżanka Małgosia Pritulak zadzwoniła chyba do telewizji. I tyle. Aha, po pół roku dostałam pismo w formie wezwania z sekretariatu ministra kultury. On wręczył mi wielki bukiet róż i powiedział: „Gratulujemy wam tego odznaczenia. Do widzenia”.

TS: Czym dla Pani był stan wojenny?

JJC: Depresyjny, zmarnowany okres w moim życiu. Rozbite zespoły teatralne, wyrzuceni dyrektorzy i reżyserzy. Zatrzymane produkcje filmowe. Nie chcę jednak narzekać i płakać nad sobą. Później zagrałam też w innych dobrych filmach, ale do końca lat 90. byłam skoncentrowana na teatrze. Ról nie pamiętam, nie zajmuję się chronologią, choć wiem, że

tak się powinno robić. Ale nie chce mi się. Było, przeszło, minęło. Patrę do przodu.

TS: Który moment był najtrudniejszy?

JJC: Kiedy zaczęło do mnie docierać, że zapaść zawodowa to nie chwilowa sprawa, że może potrwać. Gdy byłam młodsza, pomysły przedsięwzięć artystycznych biegały mi po głowie, natomiast w tej chwili nie. Ja już nie muszę niczego udowadniać. Z przyjemnością uprawiam swój zawód, ale nie za wszelką cenę. Służę wiedzą, doświadczeniem. Jestem. Proszę, używajcie. Ale żebym się zabijała i za wszelką cenę zabiegała o rolę – już mi się nie chce.

TS: Jak się Pani ratowała?

JJC: Człowiek znajduje różne rozwiązania: szuka satysfakcji w innych dziedzinach. Ja zajęłam się dziećmi. Rodzina to jest moje wielkie osiągnięcie. Ona mnie trzymała i trzyma w pionie. Kupiliśmy z mężem chałupę pod Warszawą. Rzuciłam się w wir wiejskiego życia. Warunki były spartańskie, więc miałam co robić.

TS: Można zatracić się w takiej pracy?

JJC: W sensie pozytywnym. To również świetny trening dla ciała. Karczowałam las, kosiłam trawnik. Uwielbiam obserwować przyrodę, patrzeć, jak z tego, co się posiało, wyrastają rośliny. Dbać o nie to wielka frajda. Teraz mieszkam w domu pod Warszawą i codziennie z psami pokonuję kilka kilometrów. To mi dobrze robi.

TS: W tym domu mieszka Pani z rodziną.

JJC: Ja z mężem i mój średni syn Kuba z żoną. Wspólne mieszkanie jest pomysłem dzieci. Strasznie chciałam uciec z mieszkania w Wilanowie. Warunki genialne, ale zamieszkała nad nami sąsiadka, świetna rozwódka, która chodziła po panelach w drewniakach, a jej dzieci jeździły deskorolką. Niereformowalni. Sprzedaliśmy mieszkanie, sprzedaliśmy więc, zapożyczaliśmy się w banku i przenieśliśmy się pod Warszawę. Tu jest zupełnie inne życie, jest inny rytm, upływ czasu, inne zapachy, dźwięki, światło...

TS: A zawodowo wydarzyło się coś ciekawego po Rysie?

JJC: W sierpniu dostałam telefon, czy nie zagrałabym za dwa tygodnie u pana Andrzeja Wajdy w filmie *Tatarak*. Pierwsza myśl: „ktoś odmówił i oni na gwałt szukają zastępstwa”. Druga: „weź do ręki scenariusz, przeczytaj, zobacz”. I wreszcie do głosu doszedł rozsądek – Boże kochany, głupia babo, nie zastanawiaj się! Natychmiast poprawiło mi się samopoczucie, bo w aurze Andrzeja Wajdy jest siła, którą zaraża innych. No i jeszcze spotykam na planie Krysytę Jandę, z którą tylko raz zetknęłam się zawodowo. Dowiedziałam się też, że świadomie wybrano mnie do tej roli i nie był to żaden spadek.

TS: Los się odwrócił?

JJC: Aż tak to nie. Coś jednak drgnęło. Udało mi się grać parę dni w rosyjskim love story. Fabuła przypominała Chaplinowski film *Światła wielkiego miasta* o niewidomej kwiaciarce, w której zakochuje się biedak i bogacz. Gram umierającą matkę bohaterki, więc leżałam cały czas w łóżku. Miałam do wypowiedzenia stupy tekstu po rosyjsku. Jezu, jak genialnie gra się po rosyjsku, szeroko, z pasją, kompletnie inaczej niż po polsku! Ten język wyzwała w człowieku niewiarygodną energię, byłam na granicy orgazmu.

TS: Czas tak szybko biegnie. Czy to Panią boli?

JJC: Dla mnie jest to fascynujący proces. Obserwowanie, jak się zmieniam, dojrzewam, starzeję. Człowiek w trakcie życia przechodzi różne etapy. Z niecierpliwością czekam, kim jeszcze się stanę, co się we mnie obudzi? Jak byłam ciut młodsza, myślałam: starość to koszmar. Ale im mam więcej lat, tym bardziej mi się ona podoba. Jestem dojrzałą kobietą i jako artystka mogę w wiarygodny sposób dużo więcej ciekawych rzeczy opowiedzieć o człowieku i o świecie.

TS: Ale już w zmianie fizyczności nie ma nic fascynującego?

JJC: Każdy wiek ma swój własny wyraz, trudno żeby osoba w moim wieku miała pysk dzieciaka. Ja jestem ciekawa tej pięćdziesięciokilkulatki, jej przemyśleń, problemów bez względu na to, jak wygląda. Nie mam na tym punkcie obsesji.

TS: O czym Pani teraz marzy?

JJC: Żeby zdarzyły się jedna, dwie dobre role, przydałyby się dla lepszego samopoczucia...

TS: A w życiu prywatnym?

JJC: Nie mam specjalnych marzeń. Jest dobrze... Przygotowuję rośliny do zimy. Jest fajny dom pełen książek. Psy, koty, mąż, dzieci... Wszystko się zgadza.

Rozmawiała ANNA STEFOPULOS